

Mówią „Życiu”

O rozrywce — z Olga Lipińska



Fot. Napoleon Czerwiński

Olga Lipińską spotykamy tuż po ostatniej edycji jej programu „Właśnie leci kabarecik” w telewizyjnym Studio II. — Występowała w tym programie ta sama stawka aktorów, co w rewiu „Gallux Show”. Czy to sprawa przypadku?

— Mając możliwość wyboru, angażuję aktorów, których lubię i z którymi najlepiej się rozumiem — mówi Olga Lipińska. Z Janem Kobuszewskim, Marianem Kociniakiem, Barbarą Wrzesińską, Wojciechem Pokorą, Piotrem Fronczewskim, a także z występującym niegdyś częściej w moich programach Bogdanem Łazuką łączy mnie przede wszystkim podobne poczucie humoru. Pozwala nam to z elementów codzienności (wątki sytuacyjne, rozmówki, sposoby zachowań, dominująca obecność telewizora) kreować rzeczywistość nowych, nieobliczalnych nieraz rozwiązań, w której bawią się i obserwatorzy, i twórcy. Cieszy mnie żywa reakcja: otrzymałam masę listów, w których jedni wyrażają aplauz dla programu i wołają o jeszcze, a inni miotają gromy, żądając usunięcia mnie z telewizji za prezentowanie obrazów pozbawionych sensu i dobrego smaku. Można by w tym miejscu wspomnieć o środkach stosowanych w burleskach, ale po co argumentować: pozostaje rzecz zaakceptować lub odrzucić, nie są to przecież kwestie życia i śmierci. Zaś kontrowersyjność sądów zachęca do dalszych prób.

— Mamy zatem wkrótce oczekiwane kolejnego programu?

— Nie tak od razu. Chcę odpocząć po emocjach, w których kontakście kabarecik „doleciał” do końca. Miałam ostatnio sporo pracy nie tylko w telewizji. W warszawskich „Rozmaitościach” reżyserowałam „Happy End” Brechta, w Operze Bytomskiej „Così fan tutte” Mozarta. Teraz jadę w góry, potem zaczynam próby „Skiza” — Zapolskiej dla TV a w niedalekich planach mam przygotowanie „Snu nocy letniej”. O obsadzie za wcześnie jeszcze mówić.

— Programy kabaretowe, Brecht, Mozart, Szekspir. Co integruje te rozległe poszukiwania?

— Jednorodność intencji, którą jest przygotowanie czegoś atrakcyjnego dla ludzi liczących po pracy na chwilę relaksu. Proszę pana, podział na „rozrywkę” i „coś poważnego” wydaje mi się sztuczny. Przywykliśmy z rozrywką kojarzyć występ piosenkarki z zespołem instrumentalnym i ewentualnie jakimś balecikiem. A przecież rozrywka to także kabaret, wizyta w teatrze, na dobrą sprawę każde włączenie telewizora. Propozycja się sprawdza, gdy daje szansę aktywnego wyczynku, odmiany nastroju poprzez skupienie uwagi, śmiech czy zaskoczenie; twórca przegrywa, gdy jego program jest odbiorcy obojętny, gdy budzi znużenie i ziewanie.

— A co Pani sądzi o stanie naszej rozrywki w jej węższym, estradowym rozumieniu?

— Dla nikogo nie jest tajemnicą, że mamy tu do czynienia z impasem. Jak mi się wydaje, powodem jest fakt, że rozrywką zbyt często zajmują się ludzie nie mający do powiedzenia nic ponadto, że chcą robić programy. No i robią, powielając w paru wariantach wciąż te same konwencje w tv, na estradach, w częściach artystycznych akademii. A konwencjonalność to śmierć sztuki. Do tego dochodzą nieraz pomyłki w podziale zadań. Niekiedy świetny aktor, który niejednokrotnie dowiódł kapitalnej łatwości zyskiwania sympatii audytorium, jako twórca samodzielnych programów nie potrafi nikogo porwać. Mój ulubiony Andrzej Rosiewicz — z HAGAW-em — najlepszy nasz showman, człowiek z nieprawdopodobnym poletem i pełnym kontaktem z publicznością podobno nie sprawdził się jako inscenizator. Osobiście jest mi przykro, bo zawsze uważałam i uważam, że Rosiewicz potrafił wszystko!

Wiele jest u nas mechanicznego przenoszenia wzorów zagranicznych, często nie najlepszych w stylu, sposobie bycia, w ubiorze. A przecież — bez megalomanii — doprawdy stać nas na coś autentycznie własnego. Dowodzi tego choćby Rosiewicz, Maryla Rodowicz, no a przede wszystkim Ewa Demarczyk. Mamy naprawdę świetnych artystów estradowych, ale nie potrafimy ich wykorzystać jak na to zasługują.

— Co mogłoby się przyczynić do ożywienia polskiej rozrywki?

— Sądzę, że bardzo dużo dałoby szersze wykorzystanie doświadczeń kultury studenckiej. Dała nam ona tylu interesujących twórców. Sama z niej wyszłam i do dziś stanowi ona dla mnie źródło radości i inspiracji. Takie np. kabaretony urządzane podczas FAMY dla wielotysięcznej, w większości nieakademickiej publiczności, wykazały, że widowiska masowe, by były zrozumiałe, wcale nie muszą opierać się na starych, zużytych konwencjach. Studenckie programy — przekorne, zadziorne, niejednokrotnie nieporadne w formie są jednak próbą poszukiwania nowego wyrazu, nie mówiąc już o tym, że zwykle o coś w nich idzie.

— Wróćmy na koniec do planów. Jakie są Pani marzenia?

— Nie lubię projektów zbyt odległych, ale jest taki jeden co chodzi mi po głowie: „Transatlantyk” Gombrowicza na scenie.

Rozmawiał: (C)